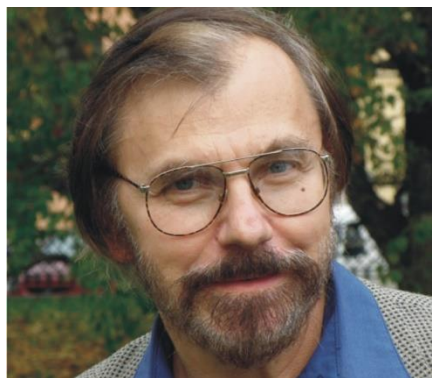


Listy do Pani A. (210)



Fot. Andrzej Dębowski

Nowy jak stary

Droga Pani!

Gdybyśmy nie mieli kalendarza, to obudziliśmy się rano pierwszego stycznia nie zauważylibyśmy niczego szczególnego. Dzień jak co dzień, potem będzie wieczór, noc i dzień następny. Ale jednak mamy kalendarze, więc zaczynamy obchodzić Nowy Rok, składać sobie życzenia oraz prorokować, co też się wydarzy. W normalnych czasach powiedziałbym, że nic nadzwyczajnego; że w końcu stycznia przeskoczy mi cyferka na liczniku odmierzającym (a to świnia) mój wiek. Tymczasem teraz może się okazać cała różnorodność wydarzeń, świat się zmienia, wojny trwają, Putinisko niestety żyje. Kładąc się do łóżka cieszę się, że mam dach nad głową, jakieś wyro i ciepłą kołdrę. Myślę wtedy, czy to wszystko będę miał nazajutrz albo za tydzień. Czy będzie woda w kranach, prąd w gniazdkach; czy uda mi się napisać do Pani następny list. To, co kiedyś wydawało się niewzruszone i pewne, dziś odczuwam jako coś, co jest chwiejne, ulotne. A jednak życzymy sobie wszystkiego najlepszego, bo cóż nam pozostało?

Trzeba jednak odrzucić skrajny pesymizm, żyć normalnie, nie popadać w paranoję. Choć czasami nawet od pisania czegośkolwiek odchodzą chęci, to myślę, że warto odrzucić „skręczając” rzeczywistość i żyć iluzją niewzruszonej stałości. Nam jednak trudno uzyskać taką świadomość w praktyce; to potrafią członkowie kilku zakonów mniszych, takich jak kameduli czy benedyktyni, którzy praktykują *stabilitas loci* czyli stałość miejsca. Ale my? Trudno nam izolować się od świata, pracujemy, chodzimy, wyjeżdżamy w różne miejsca, przeprowadzamy się. Pozostając w jednym miejscu wyłącznie ze swoimi myślami moglibyśmy szybko wylądować w psychiatryku.

Chcąc nie chcąc żyję w tym zwariowanym świecie, pocieszając się trochę myślą, że i Pani podziela ten sam los i świat. Ale w pewnym sensie jednak się izoluję uciekając w lektury, w poezję, w powieści mówiące o dawno przeszłych (niesłusznie) czasach.

Nagle dowiaduję się, że jakiś zbrodniarz wysadził kawał szyny kolejowej mając zamiar

spowodować katastrofę. Tylko dzięki maszynie, który zauważył uszkodzenie i w porę zatrzymał pociąg, nie doszło do tragedii. W innym miejscu na tej samej linii jego kumpel uszkodził trakcję elektryczną. Ruch pociągów został wstrzymany. I tu zakończyło się bez ofiar, co pewnie było wbrew zamierzeniom zbrodniczych dywersantów, którzy jak gdyby nigdy nic uciekli na Białoruś.

Jak zwykle u nas, wiele gadania, oburzenia, obietnic ujęcia sprawcy. I co dalej? Może oburzą się jakieś pięknoduchy mające się za „humanistów”, jeśli powiem wprost, że jednym ze sposobów odstraszenia od podobnych zbrodni jest po prostu bezwzględna czapa. Z drugiej strony powoli i stanowczo, eksterminowałyby jednostki parszywe, przekupne, szkodliwe, służące wobec wiadomo kogo. Kiedyś ktoś mnie spytał, czy wstąpiłbym do wojska. Odpowiedziałem: „tak, kiedy będą werbować do plutonu egzekucyjnego”. Może to niezbyt, a nawet na pewno, podejście niechrześcijańskie, (skarciłby mnie jezuita Grzegorz Kramer zamieszczający świetne filmiki w sieci, który twierdzi by nie oceniać, ale trudno). Jak tu nie oceniać i nie potępiać tak szkodliwych osobników, którzy nie zasługują na miano ludzi.

Anna Andrych w tomiku „Wychodzę na brzeg” napisała króciutki, ale jakże psychologicznie prawdziwy wiersz mówiący – jak to rozumiem – o nas wszystkich: *bywa że ktoś / pod krzyżem / zawiera pakt z diabłem*.

Niech Pani powie, czy tak nie jest w istocie? Ta wiara w jutro, w szczęśliwy, „dosi” rok to przecież swoisty pakt zawierany z samym sobą. Pewnie, że od razu nie z diabłem, ale z naszymi nadziejami, konwencjami, instynktami samozachowawczymi; i nie ma w tym nic złego. Przeciwnie, budzi w nas pozytywną aktywność pomimo wszystkiego. Świetny jest ten tom. Zresztą Anna z tomu na tom prezentuje coraz lepsze wiersze.

Poznaliśmy się przed laty w Poznaniu na Listopadzie Poetyckim jeszcze na długo przed odejściem nieodżałowanego Nikosa Chadzinkolau. Pani w tamtych czasach nie było jeszcze na świecie. Kwaterowaliśmy wówczas w bursie na Kanclerskiej. Często w długą noc staliśmy z Anną przy oknie w korytarzu, gadaliśmy o poezji, o sobie. Za oknem padał wielkimi płatami śnieg. Takie bywały jeszcze listopady. Pamiętam to do dziś. Bardzo ceniłem wiersze Ani Andrych, obserwowałem jak z tomu na tom dojrzewa i staje się poetką znakomitą.

Świetnym „azylem” są dla mnie wiersze Eligiusza Dymowskiego. Eligiusz wydał ostatnio zbiór wierszy „Krajobraz światłoczuły”. To wiersze pełne właśnie światła, odbijające w sobie rzeczywistość. Nie są jednak wyłącznie optymistyczne. Mówią często o naszym trudnym losie, ale jednocześnie są pełne nadziei, a także wiary; wiary w przyszłość, w człowieka, a także w Tego, Który bardzo dyskretnie za tym wszystkim stoi.

Eligiusz jako poeta widzi świat w sposób niejako panoramiczny. Dostrzega grozę, ale i całe piękno wszystkiego, co nas otacza; rozpacz ludzką ale i bezmiar nadziei. Bardzo polecam Pani książki tych dwojga świetnych

poetów. Dymowski także jest zakonnikiem. Wprawdzie nie mnichem, bo jako franciszkanin należy do zakonu żebraczego, podobnie jak dominikanie. To widać po Eligiuszu, bo wybrał sobie u Najwyższego niepośledni talent poetycki.

Przysłał mi Adam Ochwanowski swój tomik „Wiersze dla Lidki... sonety niedokończone”. Kto tak teraz pisze... Adam jest prawdziwym wirtuozem poezji, mistrzowsko zbudowanej frazy, obrazowości, muzyczności. Przy tym potrafi w sobie tylko wiadomy sposób połączyć przesłania wierszy z ich formalną doskonałością. A zatem nie są to tylko „zręcznościowe” popisy. Bardzo Pani jego poezję polecam. I nie tylko ja mam takie wrażenia. W 2013 roku wybrano Adama jako Osobowość Roku Województwa Świętokrzyskiego. Na swej „wątej pierś” nosi Srebrny Krzyż Zasługi, medal Zasłużony dla Kultury Polskiej oraz medal Gloria Artis.

Zawsze też podziwiałem jego poczucie humoru, dystans do świata i do siebie samego, tak dziś rzadkie dla tych, którzy mienią się być poetami.

Niejednokrotnie pisałem Pani, że nie lubię słowa „poeta”. Strasznie się zdewaluowało. Dziś co druga paniusia, młokos albo i starszek (to ostatnie jednak nieco rzadziej) mienią się poetami, podpisują się „poeta”, są członkami rozmaitych klubów „poetyckich”. Nawet w sklepach mięsnych czy warzywnych, (kupując cynamon, nie mają żadnych skojarzeń) stoją nie jako zwykli klienci, którym zabrakło kartofli, ale jako poeci.

Inni, sztywni, z nosami do sufitu udają, że nie obchodzi ich „proza życia”, przyjmują pozę ponurych erudyty, a w gruncie rzeczy są filisterskimi pozerami. Jednych i drugich znamy na pęczki. Rzadko się spotyka prawdziwych artystów, jacy byli w czasach „Współczesności” czy „Hybryd”. Wtedy wśród poetów (którzy sami nie musieli się tak nazywać) byli ludzie z dystansem, poczuciem humoru, pędzący nieraz, z różną intensywnością, życie kawiarniano-knajpiane, redakcyjne (były wtedy prawdziwe pisma literackie), ale przecież intelektualne. A dziś miliony przypinają sobie tabliczki z napisem „poeta”, co znaczy tyle, albo dużo mniej niż „nie deptać trawników”. Nawiasem mówiąc pamiętam metalowe tabliczki w pociągach: „nie wychylać się”, „nie płuć, nie zanieczyszczać wagonu”. Złazcza ta ostatnia z zamianą wyrazu wagon na słowo poezja przydałaby się dzisiaj w internecie.

Świat się zmienia, może jestem staroświecki. Oczywiście, nie można tego sprowadzać do absurdu i w ramach dawnych „wartości” sprawić sobie karekę; sam jeżdżę nie końmi ale (dość starym) oplem merivą, ale w niczym nie powinno się przesadzać. A może istotnie żyjemy już w raju, w którym dosłownie każdy jest lub może być poetą? Co Pani o tym sądzi?

Przesyłam Pani rajskie pozdrowienia i życzenia noworocznej równowagi oraz normalności –

Stefan Jurkowski